

JANINA KANIEWSKA

ur. 1930; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Bychawa, okres powojenny
Słowa kluczowe	szkoła, edukacja, gimnazjum, liceum, kadra nauczycielska, droga do szkoły, projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów

Nauka w Bychawie w okresie powojennym

Do szkoły jak chodziłam, to śniadanie na pewno było w domu. Musiałam zjeść. Jak było lato, to owoce brałam do szkoły. Na przerwach częstowałyśmy się z koleżankami. Jak wracałam do domu, to mijałam piekarnię po drodze, już jak się schodziło z Bychawy, i czasem kupowałam sobie bułeczki dwie i zjadałam przez tą drogę do domu. Same, ale świeżusieńkie, ciepłe, pyszne. Tam nie było jakiegoś sklepiku, żeby było coś, jakieś kanapki, nie było nic takiego.

[Do szkoły w Bychawie chodziłam] niecałe cztery [lata], bo w Lublinie trzy i pół, półtora roku chodziłam do gimnazjum [w Bychawie], a później jeszcze dwa lata do liceum. Taki był system. Sześć lat się chodziło.

Dyrektorem był pan Rubaj Antoni, wspaniały człowiek, wielki przyjaciel młodzieży. Fizyki uczył pan Grudzień Władysław. Komiczny taki był. Jak chciał nam zrobić jakieś doświadczenie z fizyki, to przy lampie przywiązywał krzesło i pokazywał nam, jak się wprowadza w ruch. Myśmy się śmieli z tego, ale to jakiś sens miało widocznie. Dyrektor uczył łaciny. Bardzo lubiłam łacinę. Bardzo lubiłam francuski, historię, polski. Nienawidziłam matematyki, zawsze na trójczynę. Była religia [w szkole]. Mój mąż Marian Królikowski chodził do tej samej klasy. Była to wielka miłość. Mieszkał na obrzeżach Bychawy, Grodzany nazywała się ta część. I jak była religia na przykład na pierwszej godzinie, ksiądz sprawdzał listę obecności, dochodzi do „Marian Królikowski” – „Zobaczcie tam przez okno, czy idzie”. Bo zawsze się spóźniał. A ja trzy kilometry [miałam] i byłam o czasie zawsze. I to mi zostało – nie wiem, czy to po ojcu taki dryl był, jakby obowiązkowość. Nie mam pojęcia dlaczego, ale wszystko było odtąd dotąd. I tak jest do dzisiaj.

Jak przyjechałam do Bychawy, to była lekcja polskiego, [uczył] pan profesor Lulek, on był w Lubartowie później chyba, miał chorą rękę taką, to z wojny chyba. I chodziło o to, żeby określić jakiś obszar wody czy terenu – takie określenia. I pamiętam, że zgłosiłam się i powiedziałam, że „bezbrzeżny”. I to bardzo mu się podobało. „Bezbrzeżny” – wielki. Tak że potrafiłam tak pomyśleć, ale tylko humanistycznie.

Jak chodziłam do szkoły, to chodziłam też do kościoła w Bychawie. I tam nawet ślub brałam w kościele. I na przykład na różaniec to ksiądz nas tam nagabywał, żeby chodzić. To ja potrafiłam przyjść do domu na obiad po szkole i drugi raz [pójść] na różaniec. Trzy kilometry [w jedną stronę]. Ale to się nie czuło wtedy. Młode nogi były. A teraz kolana wysiadły. I czasem mój [przyszły] mąż mnie odprowadzał, bo to już było ciemno, różaniec to już wieczór. To nie było tak przyjemnie iść przez te groble, to był kawał drogi. On mnie odprowadzał.

Data i miejsce nagrania	2020-08-11, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"